

G. LENOTRE.

## Akt namaszczenia królewskiego. (Na marginesie historii).

Kiedy Ludwik XVI przybył do Reims 9 czerwca 1775 r. na uroczystość swego namaszczenia, biedny król, dość niezręczny, nieco nieśmiały, nie lubiący i obawiający się pompy i wystawnych parad, zmiarkował odrazu, jaki będzie ogrom męki, której miał być poddany.

Przy rogatkach miejskich wyciągają monarchę z powozu, w którym podróżował od Compiègne i wsadzają go do pięknej, oszklonej karocy, wybitej wewnątrz szkarłatnym jedwabiem i zaprzężonej w osiem koni, strojnych we wspaniałe kapy i pióropusze.

Ołbrzymi orszak sumie wślada za pojazdem królewskim, przy odgłosie fanfar, bębnow, salw i dzwonów poprzez tłumy ludności, chciwiej widoku władzy.

Dnia 11-go czerwca o godzinie 6 z rana uroczystość rozpoczyna się: dwaj prałaci, poprzedzani przez chłopców z chóru, niosących palące się świece w ręku, przez dwa rzędy kanoników, muzykę stolicy arcybiskupiej i dwóch katedralnych organistów, idą procesją po króla do pałacu arcybiskupiego, gdzie zamieszkał. Czy spał w nocy? Rzecz wątpliwa. W danej chwili, odziany w sutannę ze srebrnego sukna, w beret z czerwonego aksamitu o trzech rogach, zdobny w pęk białych piór, z pośród których wystrzela czapla kita, leży wyciągnięty na łożku w otoczeniu wszystkich dostojników swego dworu we wspaniałych kostjumach.

Drzwi są zamknięte. Starszy organista uderza w nie swą pałką. Z zewnątrz rozlega się głos wielkiego szambelana dworu:

„Czego chcecie?”

„Króla”.

Głos odpowiada: „Król śpi”.

Po kilku chwilach starszy organista stuk w drzwi powtórnie; to samo pytanie i wślada za nim ta sama odpowiedź. Stukając za trzecim razem, starszy organista precyzuje: „Chcemy Ludwika XVI, którego Bóg nam dał za króla”. Drzwi się otwierają natychmiast; dwaj prałaci, zbliżywszy się do monarchy, podnoszą go z łożka i stawiają na nogi.

Orszak królewski tworzy się: stu szwajcarów, halabardnicy, oboiści, bębny, trąby, flety i piszczałki, heroldowie, szambelanie, rycerze Świętego Ducha, kamerjunkerzy, gwardziści, wszystko to w złocie, srebrze, koronkach, aksamitach, jedwabiu.

Jakież to piękne!... w opisie przynajmniej; w rzeczywistości bowiem niejedno oszpeca tę czarodziejską wizję: król jest małego wzrostu; przedwczesna otyłość czyni go ociężałym; idzie, kołysząc się na nogach; jego powieki są ciężkie, nos grubo, wargi również. Trzeba by tu księcia z bajki, bezcielesnego niemal i promiennego, jak jakiś Messjasz...! Pomiedzy jego eskortą dużo jest starych, zmiedolężniałych me-

zów: M. de Clermont-Tonnerre, konetabl, czyli naczelny wódz, ma 86 lat; dwaj okazali woźni pilnują jego chwytliwych kroków. Zachodzi obawa, czy wytrwa do końca swej ciężkiej powinności?

Mniejsza o to! Tłum z otwartymi ustami przygląda się feerycznej defiladzie i nie jeden z obywateli, w ekstazie, zgina kolano, podczas kiedy orszak wchodzi do katedry, której odrzwia zamykają się za nim.

Ani marzyć o wyszczególnieniu wszystkich scen, przerażającej swym ogromem ceremonii: w ciągu pięciu godzin, króla rozbiierają, ubierają, rozbiierają, macają, szarpia, kręcą nim, jak manekinem. Musi położyć się plackiem na posadzce, wstać, ukłęknąć przed arcybiskupem, poddać namaszczeniu olejami świętymi kolejno: czoło, dołek brzuszny, plecy, prawą łopatkę, lewą łopatkę, stawy ramion, dłonie. Włożył tu miękę, dalmatykę, płaszcz i ciężką koronę Karola Wielkiego, która tak mu ciąży, że upadając niemal pod jej przemianem, skarży się: „Dolega mi!” Słowo tragiczne, które mu kiedyś przypomnia. Wnet jednak zamieniają królowi koronę sławnego przodka na inną, lżejszą i od brylantów lśniącą.

Wzamięn za to musi wziąć miecz tegoż Karola Wielkiego, słynny „Joyeuse” do rąk i trzymać go chwil kilka ostrzem do góry. Obuty w lekkie trzewiki aksamitne z ostrogami ze złołą, z berłem w ręku, w ciężkim włokącym się po ziemi płaszczu — trzydzięści stóp kwadratowych gronostaju i aksamitu, wyszywanego złotem — musi wejść na schody o czterdziestu stopniach, aby dostać się na zdobne we flagi i bandery wzniesienie, gdzie wolno mu usiąść wreszcie na tronie, bez oparcia i bez poręczy, symbolicznym, że monarcha nie potrzebuje podpory...

Jest to chwila uroczysta: katedra rozbrzmiewa fanfarami, hukiem armat, grzmiotem wielkiego dzwonu. Setki ptaków, puszczonych na wolność w kościele, wzlatują wylekłe pod sklepienia. Okrzyki: „Niech żyje król!” rozlegają się w starej katedrze, do której teraz lud wtargnął.

Wrażenie jest tak potężne, że królowa, prześlizgnięta w swej złoczonej trybunie wybuchu łkaniem, podczas kiedy wszyscy obecni w kościele biją oklaski, jak w teatrze.

Poczem nabożeństwo się rozpoczyna, a będzie długo trwało...

Ludwik XVI podczas całej ceremonii wzbudza współczucie. Ach, co dałby za to, żeby być teraz na polowaniu i wchłaniać balsamiczne powietrze leśne! Mimo usilnych starań, nie ma ruchów królewskich: krzywi łopatkę, kołysze się na nogach zamiast iść sprężysto i równo. Nic nie pomogły lekcje, które mu dawał — z rozkazu królowej — Gardel z opery! Dusi się w swych aksamitach i dalmatykach; poci się kroplami wielkimi; a mimo to nie mijają nigdy w swych ewolucjach bez końca trybuny, gdzie żona jego siedzi na tronie, bez obdzarzenia jej dobrym uśmiechem...

Jest zresztą ze snu; albowiem, po ak-

cie namaszczenia, nie koniec inscenizacji; musi jeszcze wziąć udział w uczcie królewskiej, pokazać się w mieście w hucznej kawalkadzie, przewodniczyć w kapitulacji rycerzy Świętego Ducha i w szpitalu „dotknąć” 2400 skrofolicznych, czego dokona z godną podziwu sumiennością.

Kiedy wolno mu będzie wreszcie zdjąć płaszcz paradny, zacierając ręce z radości, które boleć go będą przez całe 24 godziny jeszcze — włoży codzienny swój garnitur i pójdzie z królową pod rękę na spacer do lasku „Amour”, ulubionego miejsca przechadzek mieszkańców Reimsu.

Jakże młoda, piękna i przystępna jest królowa! Rozmawia z tłumem, który parę królewską otacza. Do każdego mówi: „mój pocziwoze”, „moja duszko”... U wielbiają ją...! Ludwik XVI zawodzi oczekiwania swych poddanych, znajdujących, że za mało jest dumny, niedość się wyróżnia od ciekawych, którzy się tłoczą, aby doń bliżej podejść.

„Ech! Co? To to jest król?”

Wielu dużo drogi zrobiło, żeby go zobaczyć. Oto młody chłopiec — lat szesnastu najwyżej, który przyszedł zdaleka, z Troyes piechotą, chodzi jeszcze do szkoły. Ubranie jego zapyłone, rysy zmęczeniem ściągnięte. Jest bardzo zresztą brzydki ze swą wargą przeciętą i czołem wypukłym. Zdaje się, że to on, zawiedziony, powiedział przed chwilą:

„Ech! Co? To to król?”

A kiedy Ludwik XVI, po przyjacielsku o imię go pyta, głosem zmienionym, ale już ostrym i silnym, odpowiada:

„Nazywam się Danton, do twoich usług, sire”.

Skróc. i tłum. Jotsaw.



Znakomity artysta zagranych oper, nasz rodak, Włodzimierz Kaczmar jako Mefisto w „Faustie”.



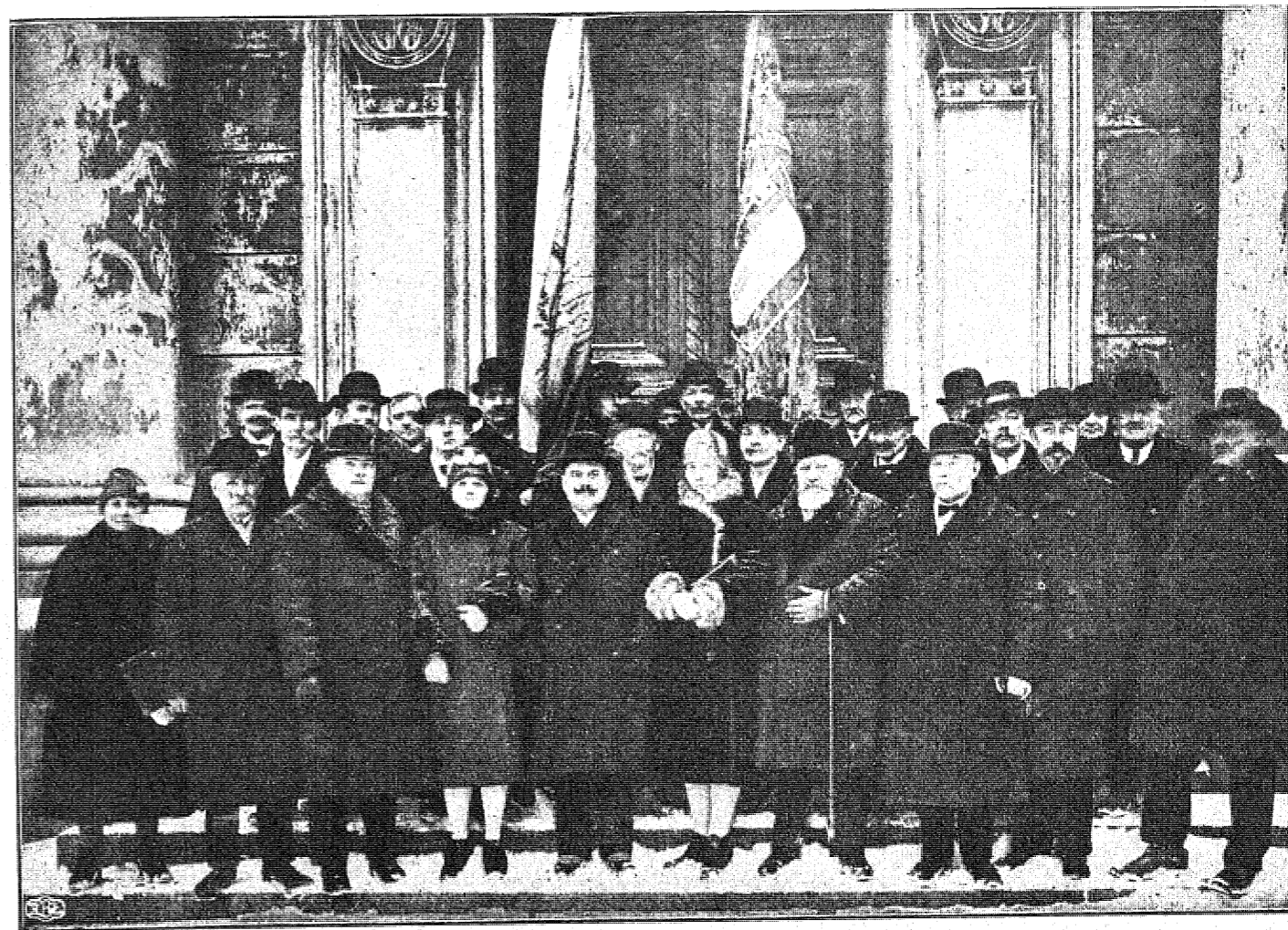
DODATEK ŚWIĄTECZNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO”.

Rok VI.

Sobota, dnia 2 lutego 1929 roku.

Nr. 5.

## 110 lat na straży rzemiosła polskiego.



W ubiegłym miesiącu Cech Mistrzów Zduńskich w Łodzi, posiadający za sobą 110-letnią przeszłość odbył uroczystość związaną z poświęceniem nowoufundowanego sztandaru cechowego. Na zdjęciu powyższym widzimy przedstawicieli Cechu Mistrzów Zduńskich z zarządem i sztandarami na czele.

Fot. A. Meyer.

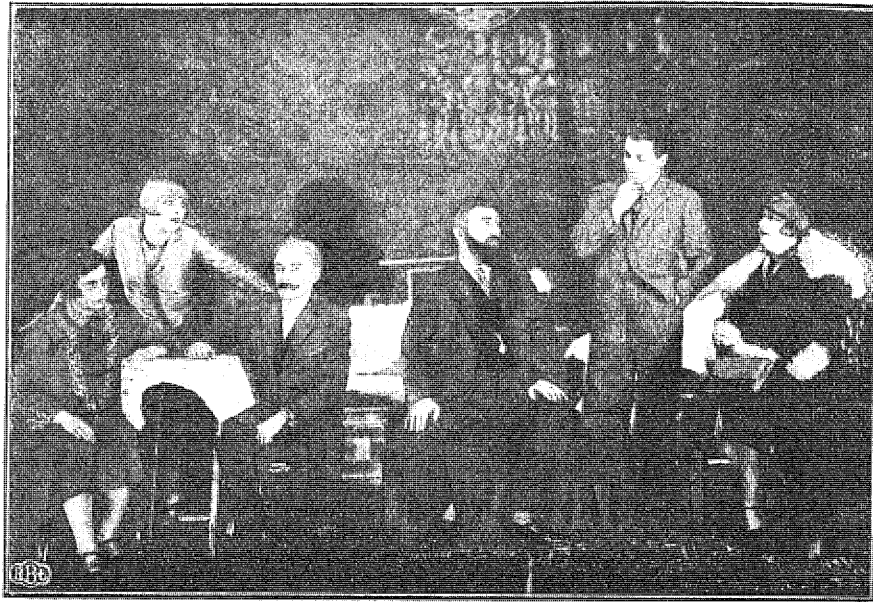
Premjery warszawskie. — Śmierć kosi...

Ostatnie dni przyniosły w teatrach stołecznych parę premjer, z pośród których najwięcej bodaj sądów i komentarzy wywołała sztuka 3-aktora Adama Grzymały-Siedleckiego p. t. „Włamanie“, wystawiona w Teatrze Polskim. Podczas, gdy jedni dopatrują się w tej treści głębokich idei społecznych, w jej charakterach — wnikliwych dociekań psychologicznych, inni chcą widzieć tylko niezły melodramat, a nawet uszczelniony obraz filmowy. Zgodna jest natomiast opinia co do bardzo dobrej faktury „Włamania“, żywego i teatralnego dialogu, umiejętnej ekspozycji i pomyslowego smucia z niej dalszego wątku. Sam fakt włamania do skarbca banku, tytułujący sztukę, jest tylko punktem wyjścia do interesującego odsłonięcia rąbka kurtyny, zakrywającej kulisy wewnętrznego życia bogatej rodziny burżuazyjnej. Sprawcą usiłowanej kradzieży okazuje się bowiem pewien młody wykołajeniec, którego z panią tego rodzinnego gniazda łączyły najbliższe stosunki w dniach pierwszej słonecznej młodości obojga.

Dokonana zbiegiem okoliczności konfrontacja demaskuje zarówno przeszłość jak pochodzenie bohaterki sztuki, Karoliny, rozwiewa romantyczną aureolę, zręcznie na użytek męża i kochanków malowaną. A to zdemaskowanie życiowych kolei córki pomysłowości i ex-tancenki burzy i łamie całą jej egzystencję, opartą na kłamstwie, zaparcia się samej siebie, podeptaniu najpiękniejszych, najmenniejszych uczuć. W zwierciadle tej psychologicznej katastrofy odbija się równocześnie nicosć i egoizm męża Karoliny i jej wielkoświatowego otoczenia. Jeśli więc teraz bohaterka sztuki zdoła dostrzec oblicze prawdy pod pozorami życiowego błichtu, będzie to dla niej szczęściem w nieszczęściu, będącym ekspiacją za popełnione błędy i grzechy.

Ciekawa w każdym bądź razie sztuka Grzymały-Siedleckiego znalazła doskonałą obsadę, co niewątpliwie przyczyniło się do podkreślenia wszystkich jej zalet i... błędów. Pp. Przybyłko-Potocka (Karolina), Jusosza - Stępowski, Leszczyński, Buszyński, nie wspominając już o innych, stworzyli postacie zaciiekawiające swą indywidualną treścią, zapadające na długo w pamięć.

Drugą — oryginalną, a niemniej interesującą premjerą — jest komedia Jerzego Szaniawskiego p. t. „Adwokat i róża“ zaprezentowana na scenie niedawno otwartego Teatru Nowego. Szaniawski ma swoją markę i swój styl wśród współczesnych pisarzy scenicznych polskich i słusznie uchodzi wśród nich za jednego z najbardziej utalentowanych. W talentcie tym jest coś więcej, niż poprawność roboty pisarskiej, zręczność w zawiązywaniu i rozwijaniu wązłów intrygi; twórczość Szaniawskiego, wsparta na realistycznych granicach, sięga przecież wieżycami swej architektury w sferę szczerej, czystej poezji, w sferę duchowego piękna, miętawo pozwalającego się zamknąć w formułach komedjo-



Ostatnią premjerą w Teatrze Kameralnym w miesiącu styczniu była komedia A. Słonimskiego p. n. „Murzyn Warszawski“, której fragment widzimy powyżej.

wego wyrazu. Dzięki tym właściwościom talentu Szaniawskiego, sztuki jego otacza zawsze atmosfera subtelnej fantastyki i marzycielstwa, w której zakwitają prześlicznie dyskretne barwy oryginalnej ornamentyki autorskiej, o przewodnich motywach poetyckich wzniesień, wewnętrznego piękna i doskonalenia się.

Piękna opowieść o słynnym adwokacie, który dość już mając świata, hoduje różę, doskonale uwydatnia cechy bardzo indywidualnego talentu autora, wspomniane powyżej. Bo oto z ogólnowej próby wciągnięcia adwokata w wir ludzkich namiętności i rzużenia go im na pastwę — bohater wychodzi zwycięsko. Uwalnia od winy i kary oskarżonego o kradzież, młodego złoczyńcę, który kradł coś więcej, niż piękne różę, bo miłość żony adwocata; wnosząc się na poziom duchowej doskonałości, z którego nie mógł dostrzec już osobistej krzywdy, adwokat wiedząc o wszystkim, przebacza tym, co mu czynili zło i powraca do ukochanych róż, będących w sztuce symbolem lepszej, piękniejszej strony psychiki człowieka.

Komedia Szaniawskiego jest traktatem o moralności, ujętym w kodeksy osobistych czy ogólnych przepisów. Trudno przykładać pospolite miarki do czynów i etyki adwocata, biorących źródło z nakazów wewnętrznego hartu i ewangelicznej dobroci. Sztuka żyje i oddycha poezją, której skrzydła trzepocą ponad obszarami prawniczego rygoryzmu i ścisłości, chociaż mowa jest o adwokatach. Komedję znakomicie wyreżyserowaną przez p. Zelwerowicza, przyjęto entuzjastycznie, ocenając w niej to, co jest jej wdziękami i urokiem. Z grona wykonawców wymienić należy Dunin-Osmołską, Warneckiego, Gromnicką, Gawlikowskiego. I jako aktor, p. Zelwerowicz, w roli głównej, dał świetny popis swego twórczego scenicznego kunsztu.

Delta.

W Łodzi.



Obraz pendzla art.-malarza Jana Zamojskiego p. n. „Gitarzysta“, wystawiony w Miejskiej Galerji Sztuki w Łodzi.



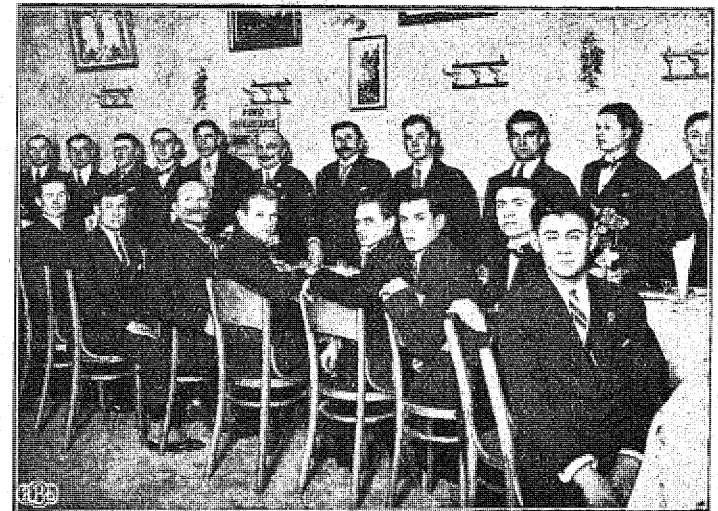
Druga drużyna hockeyowa gimnazjum K. Tomaszewskiego w Łodzi.



W ubiegłym miesiącu przedstawiciele Magistratu m. Łodzi wręczyli pułkarni artylerji stacjonującej w naszym mieście piękny dar w postaci srebrnych trąbek alarmowych. Powyżej oddział delegowany z trębaczem na czele.



Tradycyjny „opłatek“ członków Sekcji Praktykantów Ogrodniczych w Łodzi. Na zdjęciu grupa praktykantów z prezesem C. P. Z. O. p. Kaczorowskim i p. Salwą na czele.



Uczestnicy tradycyjnego „opłatka“ praktykantów ogrodniczych w czasie wspólnej biesiady. Fot. A. Meyer.



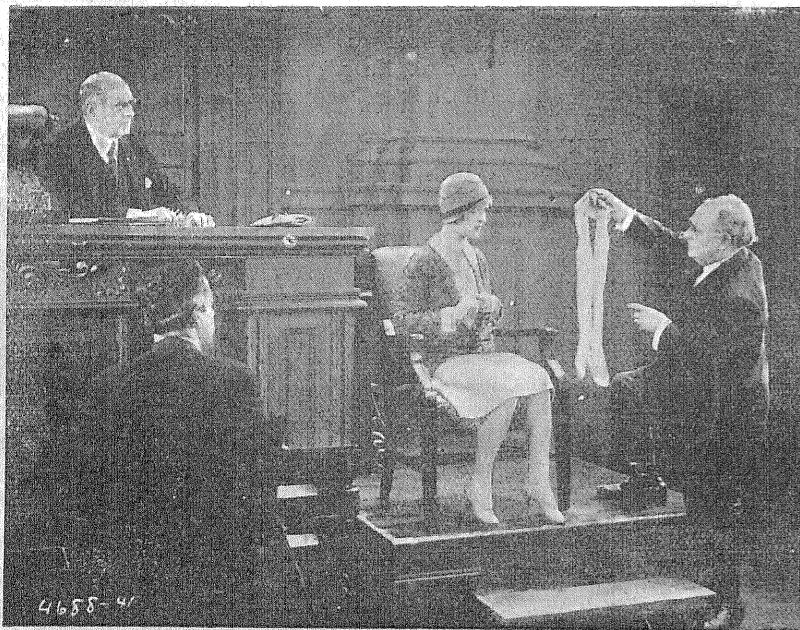
Rodaczka nasza Rena Plüffer-Lax, znakomita śpiewaczka operowa występująca obecnie w operze wiedeńskiej.



Camilla Horn, zwana „kwiatem piękności“, która czarowała widzów występem swym w obrazach „Faust“ i „Burza“.



Marion Nizon, ulubiona artystka komedjowa na srebrnym ekranie.



„Jedwabna pończoszka“ — oto oryginalny tytuł najnowszej kreacji Laury La Plante, ulubienicy publiczności kinoteatralnej całego świata.



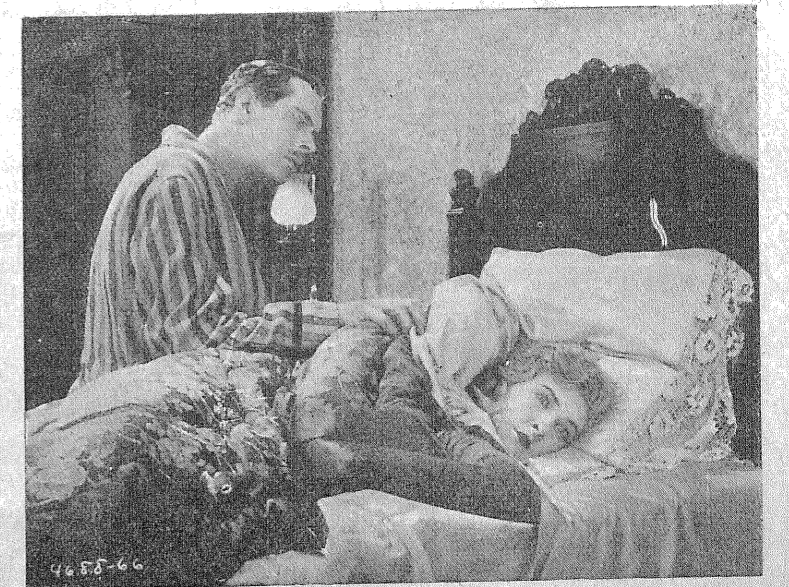
Scena miłosna pomiędzy Ewą a Jackiem w obrazie filmowym p. n. „Pan Tadeusz“, reżyserji R. Ordyńskiego. W roli Ewy p. Bellina, a w roli Jacka p. Szymański.



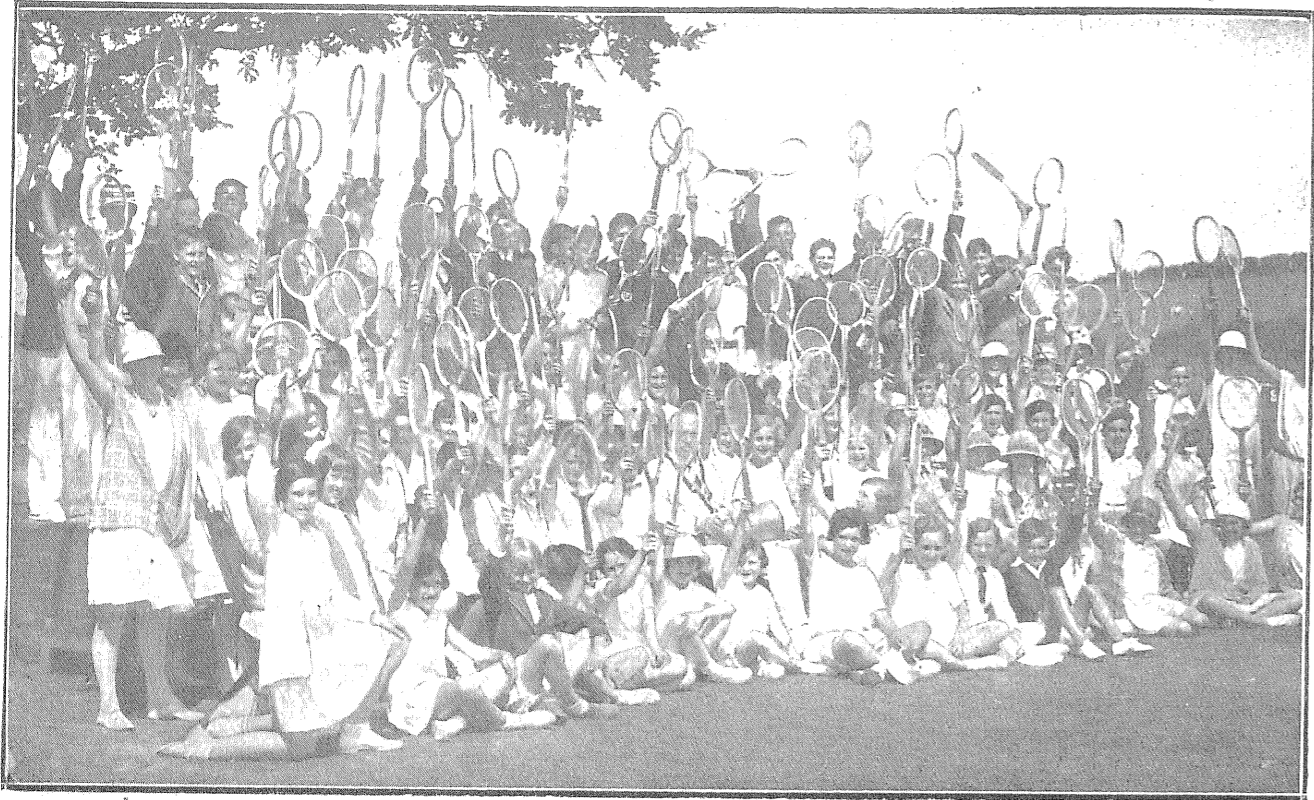
Fay Marbe i Ernest Verebes w świetnym filmie p. n. „Dolar, serce i przypadek“.



Marja Modzelewska i Zbyszko Sawan w filmie „Przedwiośnie“, zrealizowanym według powieści Stefana Żeromskiego.



Przepyszna krotkoczwila filmowa będzie obraz p. n. „Kandydatka do... rozwodów“ w interpretacji Laury La Plante.



Amerykańskie turnieje tenisowe dla dzieci gromadzą licznych zawodników. Na zdjęciu powyższym widzimy liczną grupę młodych miłośników tenisa.



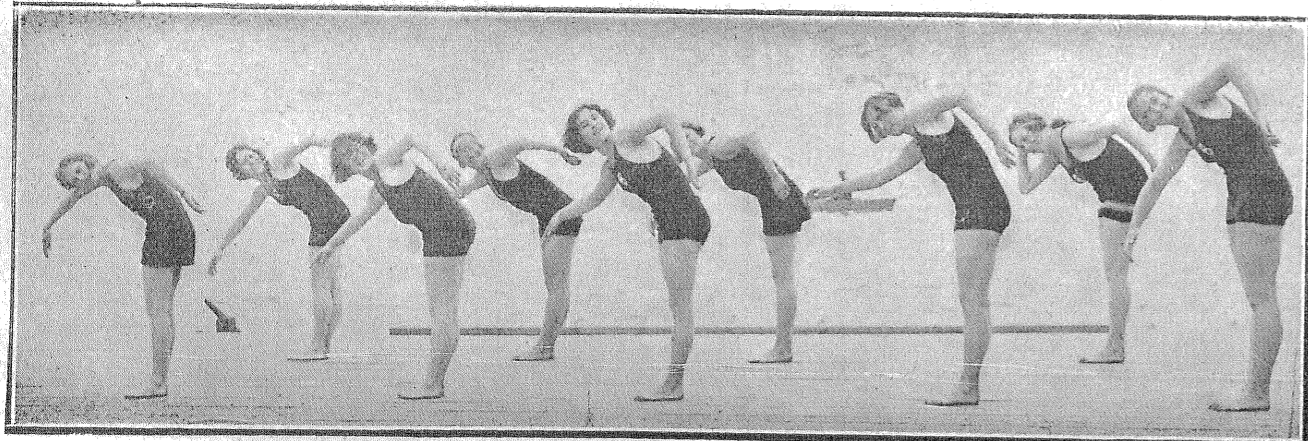
Reprezentacja Warszawy w Hazenie.



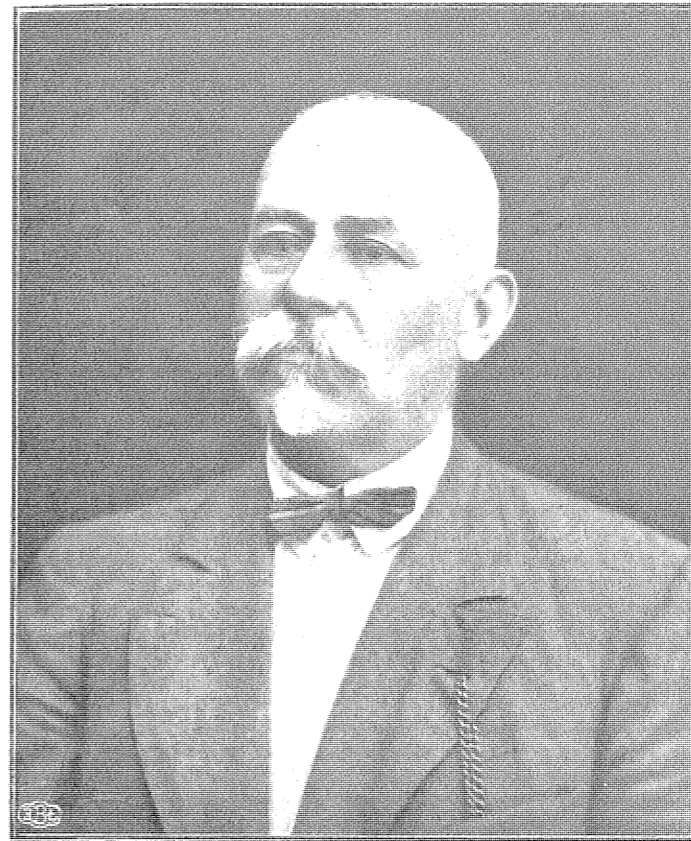
Moment gry w piłkę nożną drużyn kobiecych.



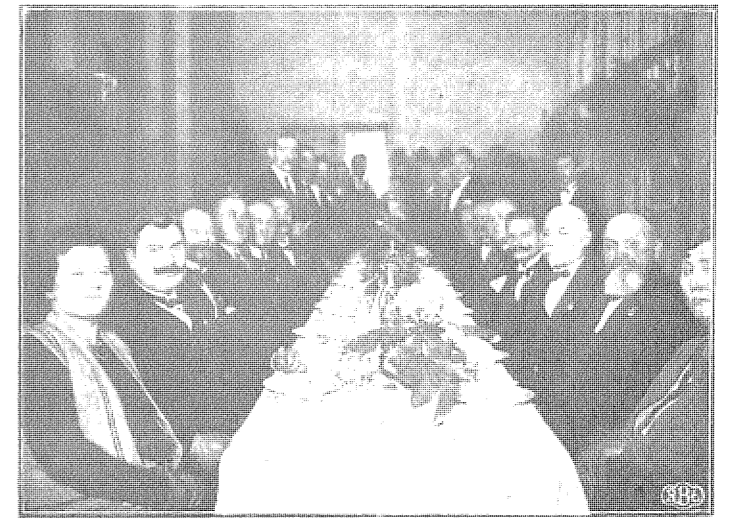
Reprezentacja Łodzi w Hazenie.



Nauka suchego pływania na kursie nauczycielek w Ameryce.



Jedną z najstarszych w Łodzi organizacji rzemieślniczych jest Cech Mistrzów Zduńskich, istniejący już 110 lat. Powyżej podobizna starszego cechu p. Wincentego Osińskiego, długoletniego prezesa zarządu.



W ubiegłym miesiącu Cech Mistrzów Zduńskich w Łodzi obchodził uroczystość poświęcenia nowego sztandaru. Na zdjęciu widzimy uczestników uroczystości przy wspólnym stole.



Marjorie Daw, bohaterka filmu „Tancerka z Casino de Paris”.



John Barrymore, bohater filmu „Bestia morska”.



Bebe Daniels jako „Córka Zorry”.

Fot. A. Meyer.

## 1-sze spotkanie z ubóstwem.

Nie pamiętam już z okazji jakiej rocznicy dostałam lalkę Gerde i wózek dla niej. Mogłam mieć wówczas siedem lat. Było to w piękny, roześniany poranek majowy. Miałam na sobie białą sukienkę, której nie zdążyłam jeszcze pobrudzić. Tocząc wózek z lalką przed sobą, szłam po nierównym bruku ulicy Oslo w stronę ogrodu Komendanta.

Przy końcu ulicy spotkałam dwie rówieśnice, które oznajmiły mi, że na łące znajduje się klacz ze źrebiątkiem. Miałam zamiar pokazać im lalkę i wózek, ale zapomniawszy na śmierć o nich, pobiegłam z przyjaciółkami ku łące.

Powiedziały prawdę. Wszystkie dzieci z ulicy były już tam, rozmawiając o cudzie. Ze zdziwieniem przyglądałyśmy się straszliwie chudym nogom i małutkiemu kędzierzawemu ogonkowi źrebięcia. A kiedy z lekkiem pod matką zaczęło ssać, gorąco nam się zrobiło i prawie, że straszno, że jesteśmy tak blisko przyrody.

Niebawem przyszła służąca, wzywając nas na podwieczorek i wówczas zauważyłam, że wózek jest próżny, Gerda znikła. Zaczęło się szukanie. Indagowano wszystkie dzieci i zajrzano do wszystkich domów ulicy. Millie i Mała, które były bardzo przedsiębiorcze, zamierzały iść po policję, ale im na to nie pozwolono. Wówczas wzięwszy na siebie rolę policji, poddały bolesnemu badaniu, przy pomocy służącej, Ninę, która nie cieszyła się dobrą opinią, na co Nina zareagowała przenikliwym pisaniem. Matka jej, nadbiegłszy, zagroziła, że uda się natychmiast do rodziców Millie, Małi i moich, opowiedzieć im, czegośmy się dopuściły.

W rezultacie nic to wszystko nie pomogło. Gerda nie znalazła się.

Wylałam, oczywiście, kilka łez, ale nie wiedziałam rzeczy tragicznie. Byłam właścicielką lalki od paru godzin załadowanej i nie zdążyłam jeszcze przyzwyczaić się do niej.

Nie miała wreszta prawdziwych włosów, tylko malowane na swej porcelanowej główce i sukienka jej, uszyta przez moją matkę, biała w różowe kwiatki, ozdobiona koronką i jedwabnymi wstążkami — jakkolwiek ładna, była ze zwyczajnego perkalu.

Wobec tego, że pozostawał mi jeszcze wózek, włożyłam doń najpiękniejszą z moich lalek, która musiała leżeć, niestety, ponieważ nie miała ani włosów, ani rąk, ani nóg i wszyscy wysmiewali się z niej.

Byłabym zapomniawsza oddawna prawdopodobnie o klaczu Gerdzie, gdyby mi się nie zdarzył wypadek, który wam zaraz opowiem.

W kilka miesięcy potem nasza służąca zabrała mnie z sobą do Balkeby. Nie pamiętam już, co miała tam do roboty; może odwiedzić przyjaciół. Przybyliśmy do jednopiętrowego drewnianego domu, groźnego ruina, którego parter zajęty był przez mleczarnię i magazyn z obuwiami.

Weszliśmy do ostatniego. Szewc w dużym niebieskim fartuchu siedział na stolku. Twarz miał szaro-żółta, jak ciasto i chmurna. Służąca zamieniła z nim parę słów, poczem weszliśmy do pokoju obok sklepu, gdzie powietrze było kwaśne i zepsute. Stały tam dwa łóżka z pościelą tak wysoko spiętrzoną, że nie mogłam pojąć, jak ludzie mogli się na nie wdrapać wieczorem. W pokoju zastałyśmy kobietę z dzieckiem u piersi. Miała twarz żółta i ani jednego prawie zęba w ustach.

— Jak się ma Solveig? — zapytała Helena, nasza służąca, po przywitaniu.

Nie pamiętam odpowiedzi, jaką dała kobieta, dość, że po chwili Helena zaprowadziła mnie do sąsiedniej kuchni, gdzie na łóżku, oparta o ścianę, siedziała dziewczynka w moim wieku w różowej nocnej koszulce z twarzą bardzo bladą i blond włosami.

— Czy bardzo jesteś chora? — zapytałam ją, kiedy zostałyśmy same.

— Tak — odparła z pewną dumą w głosie — mam gruźlicę w biodrach; robili mi dwa razy operację w szpitalu — wiesz?

— Nie może być? — odparłam — bołało?

Solveig milczała. Nie wiedząc, co mówić, ruszałam nogami pod krzesłem i ssałam gumę od mego słomianego kapelusza. Złe i ciężkie powietrze przyprawiało mnie o mdłości. Coś w gardle ścisnęło.

— Nie nudzi ci się leżeć w łóżku? — odezwałam się wreszcie.

— Tatusz mi dał to — odparła, wyciągając z pod poduszki mały zielnik — a mama lalkę.

Wyjęła ją z pod kołdry. Miała głowę z porcelany z wymalowanymi blond włosami i jakkolwiek była bardzo brudna, poznałam natychmiast białą sukienkę w kwiaty, ozdobioną koronkami i jedwabnymi wstążkami. Była to moja lalka Gerda. Zaczewieniłam się i łzy stanęły mi w oczach. Doznawałam uczucia, jakgdybym to ja popełniła zły czyn. Nie śmiałam wzroku podnieść i odezwać się słowem.

W tej chwili weszła matka Solveig i zobaczyła rumieniec na mojej twarzy. Wyrwyjąc lalkę z rąk Solveig, odezwała się szorstko:

— Nie trzeba jej pokazywać bogatej dziewczynce, która ma naperwio ładniejsze lalki...

Spojrzałam na nią. Wzrok jej błędził po pokoju i wargi zaciskały się dziwnie koło ust bezzębnych. Poczem przemówiła innym zupełnie głosem: słodkim, jak miód.

okliwym, szacuniku pełnym, który mnie przejął wstrętem i niewytłumaczoną obawą:

— Napewno masz inne, ładniejsze lalki. Ale biedna Solveig ma tę jedną tylko i uważa ją za bardzo ładną... Kupiłam ją za dwie korony u Wollmana...

Pamiętam później, że zaprosiła mnie do sąsiedniego pokoju na kawę. Daremnie mówiłam, że mama nie pozwala mi pić kawy. Musiałam wypróbować całą filiżankę i zjeść dwa niedobre ciastka, które Helena kupiła po drodze.

Zamosiłam się od płaczu w drodze powrotnej. Nie chciałam powiedzieć dlaczego. Helena tłumaczyła mi, że powinnam się czuć szczęśliwą, mie będąc zmuszoną leżeć jak Solveig w łóżku.

— To dobrze dla ciebie — mówiła — że zobaczyłaś, jak żyją inne dziewczynki.

Płakałam coraz głośniejsze. Wówczas przestraszona, obiecała mi kupić cukierków i zabroniła mówić mamie, że byłam z nią w Balkeby.

Uspokoiliam się po drodze, rozmyślając nad tem wszystkim, co miałam zrobić dla Solveig. Postanowiłam mianowicie odwiedzić ją, zabawić i mnóstwo jeszcze innych rzeczy. Nie mogłam jednak wprowadzić w czyn zamierzeń moich. Dlatego przede wszystkim, że miałam siedem ocre całego majątku i dlatego powtóre, że mama dowiedziała się całej prawdy, kiedy podczas wieczornego pacierza znowu załamałam się łzami. O lalce jednak nikomu nic nie powiedziałam. Mama pogmiewała się bardzo na Helenę i zabroniła mi raz na zawsze odwiedzać Solveig, która miała gruźlicę w biodrach.

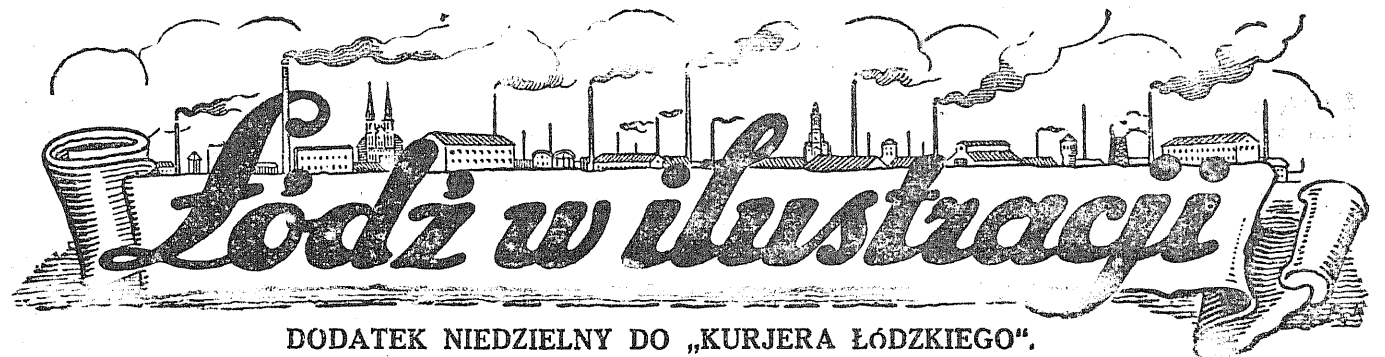
\* \* \*

Było to moje pierwsze spotkanie z ubóstwem. W kilka lat potem, kiedy matka oznajmiła mi pewnego dnia, że i my, z kolei, jesteśmy biedne, przypomniałam sobie uczucie niepokoju, które mnie ogarnęło i palący rumieniec na moich policzkach. Czy będziemy zmuszone oddychać morowem powietrzem, pochylać czoło przed ludźmi i patrzeć na nich wylękłymi oczami i mówić do nich pokornym, miodowo-słodkim głosem..?

Wyrosłam na pannę, zostałam kobietą. Nauczyłam się poznawać coraz lepiej życie. I ubóstwo również.

Ale najgorsze ubóstwo ujrzałam jasnowidzącym instynktem dziecka — upokorzenie mianowicie, zagrażające ubogim ludziom — w ów dzień, kiedy patrząc na żonę szewca z Balkeby, chowającą lalkę, doznałam uczucia, jakgdybym to ja dopuściła się złego czynu.

Skrót i tłum. Jotsaw.

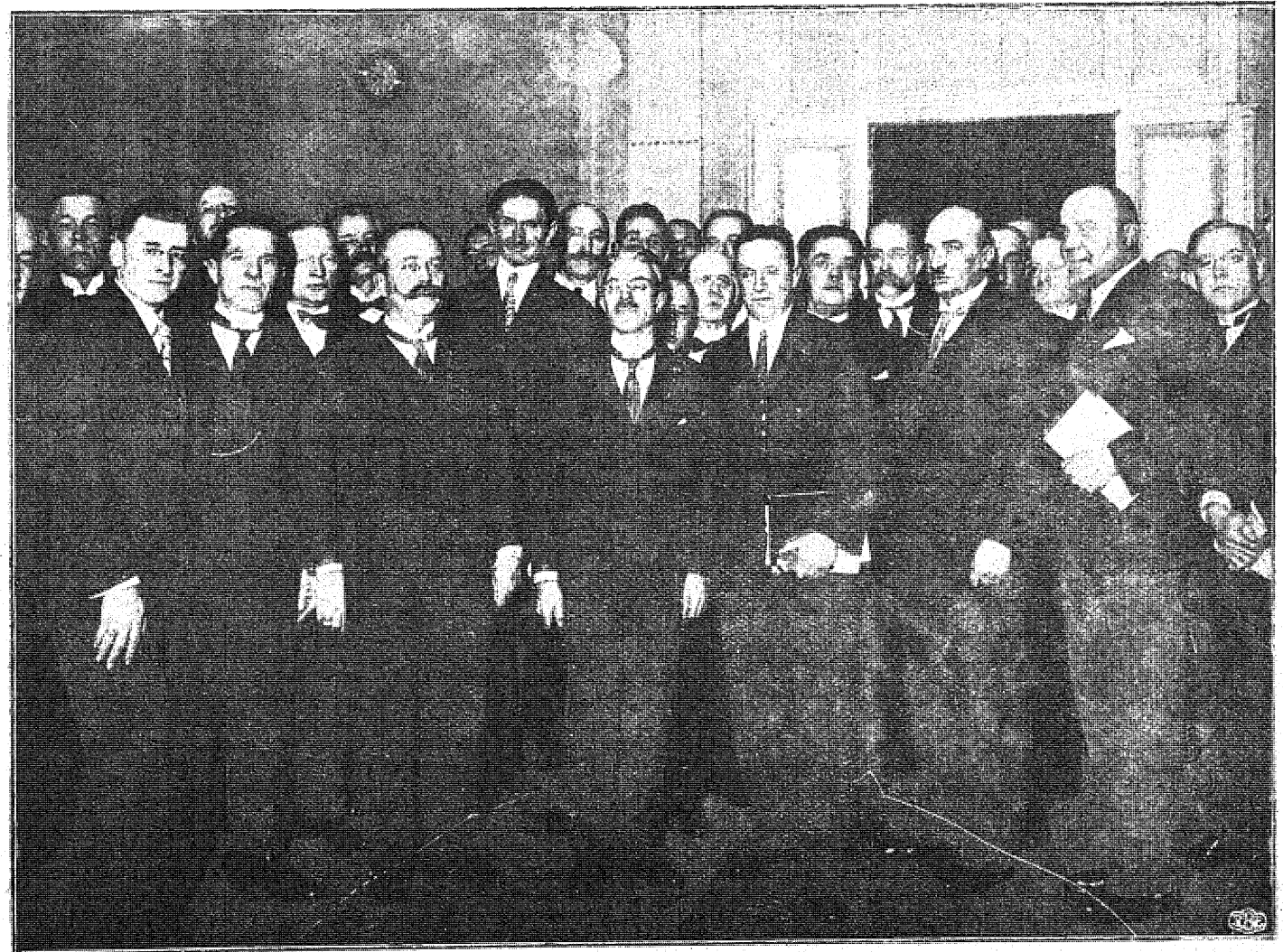


Rok VI.

Łódź, dnia 10 lutego 1929 roku.

Nr. 6

## Łódź w rocznicę 10-lecia komisji kodyfikacyjnej.



Powołany z inicjatywy prezesa Sądu Okręgowego w Łodzi, p. Stefana Beżyńskiego komitet dla uczczenia roku jubileuszowego Komisji Kodyfikacyjnej przy czynnym udziale stałej delegacji zrzeszeń i instytucji prawnych zorganizował w ubiegłym miesiącu trzy odczyty w wielkiej sali posiedzeń Sądu Okręgowego. Powyżej przedstawiciele władz sądowych i państwowych oraz palestry łódzkiej.

Fot. A. Mayer.